

Zderzenie z rozpędzonym pociągami

29 września 2017

Jestem z bardzo... małej rodziny. Nie mam rodzeństwa, a to oznacza, że wszelkie „zawirowania naszej trójki” rozkładają się na bardzo małą ilość osób i każdy wstrząs jednego z elementów takiego układu oznacza dramatyczne konsekwencje dla pozostałej dwójki. Muszę Państwu opisać chyba jeden z najbardziej dramatycznych dni w moim życiu, czyli 25 maja b.r., kiedy mój ojciec przeżył zatrzymanie akcji serca i został cudem (brakowało dosłownie 2-3 minut!) przywrócony do żywych przez Pogotowie Ratunkowe.

Zacznę od tego, że od dłuższego czasu bardzo bałem się poranków i telefonów od mamy. Przeczynałem w zupełnie irracjonalny, niezrozumiały sposób, że taki moment przyjdzie i będzie wcześniej rano telefon, który będzie miał bardzo dramatyczny wymiar. Chodź trudno w to uwierzyć, ale ja nawet znałem treść tego, co usłyszę wtedy w słuchawce telefonu. Kiedy 25 maja o godzinie 6.30 moja Mama zadzwoniła do mnie i wręcz wykrzyczała krótką prośbę o to, abym „natychmiast (!) jechał do domu, bo ojciec...” ja od wielu tygodni znałem treść tego, co usłyszałem. Uwierzycie w to? Ale to i tak jeszcze nic.

Był wieczór 24 maja. Za kilka godzin mój ojciec stoczy najważniejszą walkę w swoim życiu o to, aby nadal pozostać na naszym świecie, a nie przejść do świata „światła”. Pamiętam, że wróciłem do domu późno po bardzo ciężkim dniu w pracy i praktycznie natychmiast położyłem się spać. I nagle przyśnił mi się niesłychanie realistyczny sen, którego realizm przebił wszystko co śniło mi się do tej pory. We śnie byłem razem z moimi rodzicami w pokoju, który miał ściany, ale przezroczyste. Widziałem przez nie dokładnie to, jak z jednej strony zbliża się do nas jakaś jasna postać. Pamiętam

dokładnie, jak wyglądała: była białą smugą, bez głowy czy widocznych rąk czy nóg, ale właśnie takim „smugowatym stworem”. Wiedziałem, że jest to zło, które chce wyrządzić krzywdę mojej rodzinie. Próbowałem ją odgonić, ale ta tajemnicza „biała smuga” była niesłychanie uparta i docierała do naszego pokoju to z jednej, to z drugiej strony. Moja walka z nią była mordercza, trwała bardzo długo, aż wreszcie udało mi się skrzyżować ręce i wypowiadając stanowcze słowa przegoniłem ją. Biała postać znikła, a ja obudziłem się złany potem. Była godzina 3.00 w nocy, a trzy godziny później zaczął się dramat z sercem mojego ojca. Czy to może być przypadek? Może, ale... proszę wybaczyć – jestem absolutnie pewien, że nie był to przypadkowy sen.

Cała historia zakończyła się szczęśliwie. Mój Tato dostał rozrusznik serca, dochodzi do zdrowia i czuje się coraz lepiej. Ja przez ostatnie dwa miesiące miałem przez to potworne wydarzenie świat lekko postawiony na głowie, gdyż musiałem być więcej z Mamą... długo by mówić – na pewno Państwo wiecie, co oznacza taka sytuacja i jakie ma konsekwencje dla całej rodziny. Zwłaszcza tak małej, jak moja. Tym razem w ostatniej chwili udało nam się uskoczyć przed rozpędzonym pociągiem...

Powiem Państwu szczerze: tego dnia rano po przyjeździe do domu moich rodziców widziałem straszne rzeczy... Najpierw przez prawie kwadrans na moich oczach były podejmowane desperackie próby ponownego uruchomienia serca mojego ojca, a następnie znosiłem go nieprzytomnego w ratowniczym kocu (razem z dwójką ratowników) do karetki pogotowia. Coś tego dnia we mnie pękło, coś się skończyło. Wiedziałem wcześniej oczywiście, że wszyscy jesteśmy istotami śmiertelnymi fizycznie (bo nasza dusza jest nieśmiertelna), ale to wszystko wydawało się szczęśliwie nie dotyczyć jeszcze moich najbliższych. Od dwóch miesięcy wiem, że jest inaczej. Nic już nie jest takie samo, jak było wcześniej. Ja też jestem także innym człowiekiem. Czy lepszym? Myślę, że na pewno.

To moje zawirowanie rodzinne wpłynęło w oczywisty sposób na moje działania, gdyż musiałem na wiele tygodni zostawić pokład fundacji Nautilus i zająć się zwłaszcza przerażoną Mamą, której nagle zaczął się zawalać na głowę cały świat. A musicie Państwo wiedzieć, że moi rodzice są cudownym dowodem na to, że pomysł spędzenia życia „we dwoje” jest boskim, cudownym pomysłem. Gdyby wszyscy ludzie na Ziemi byli wobec siebie tak jak są moi rodzice, to z pewnością świat byłby znacznie lepszy niż ten obecnie... ale to taka mała uwaga „na marginesie”.

Na koniec tego wpisu w „Dzienniku pokładowym” chcę się podzielić pewnym moim przemyśleniem dotyczącym starzenia się i upływu czasu. Od wielu lat fascynują mnie wysokie góry i losy ludzi, którzy się na nie wspinają. Jestem jak najbardziej przeciwny narażaniu własnego życia i zdobywaniu z próżności „kolejnych szczytów”, ale jednocześnie porusza mnie to, co spotyka ludzi powyżej ośmiu tysięcy metrów. Nigdzie indziej życie i śmierć nie chodzą ze sobą tak bardzo w parze, a ludzie mogą obserwować siebie i innych w sytuacjach ostatecznych, krańcowych. Znam bardzo dobrze (praktycznie na pamięć) przebieg wszystkich najważniejszych wypraw w wysokie Himalaje i ostatnio kilka epizodów ze „zdobywania ośmiotysięczników” dołączyłem nawet do naszych prezentacji o tzw. polskich zjawiskach niewyjaśnionych.

Narasta we mnie przemożne uczucie, że ludzkie życie przypomina wspinanie się w góry, a każdy kolejny „tysiąc metrów” jest niczym pokonywanie kolejnych dziesiątek lat naszego życia. Życie do 30 roku życia jest bardzo podobne do wchodzenia na góry do 3 tysięcy metrów. Nie ma żadnych problemów, na szczyt może wejść praktycznie każdy, nawet wjechać górską kolejką. Dochodzimy do kolejnej bariery, czyli czterdziestu lat w życiu człowieka, którą ja bym przyrównał do zdobywania górskich szczytów o wysokości czterech tysięcy metrów. Tu także jest wejść dosyć prosto, ale coraz częściej słychać o tym, że ktoś „odpadł od ściany”. Niby granica czterech tysięcy metrów jest bezpieczna dla wspinaczy, ale są odcinki, na których może

zdarzyć się prosty błąd...

I tak dochodzimy do 50 lat, czyli przekraczania w wysokich górach pięciu tysięcy metrów. Tu jeszcze daleko do „ciągłego zagrożenia życia”, ale powyżej takiej wysokości grozi nam wiele niebezpieczeństw, które na niższych wysokościach nie istnieją. Trzeba obserwować własny organizm, czy przypadkiem dobrze znosi lekko rozrzedzone powietrze. Należy pamiętać o przyzwyczajaniu się do takiej wysokości... To wszystko zmienia się z granicą sześciu tysięcy metrów, kiedy to żarty się kończą i choć nadal oddycha się „przyjemnie i łatwo”, to gdzieś z tyłu głowy musimy mieć myśl, że w każdej chwili możemy rozpocząć „walkę o życie” z powodu zaburzeń naszego organizmu. Większość jednak tę barierę przechodzi bez problemów.

Zupełnie inna sytuacja jest powyżej siedmiu tysięcy metrów, czyli w tym moim porównaniu do ludzkiego wieku po przekroczeniu siedemdziesiątego roku życia. Wtedy widać wyraźnie, że wielu wspinaczy idących obok nas zostało gdzieś z tyłu na ścianach, coraz większa część odpadła od ścian. Świadomość niebezpieczeństwa i zagrożenia życia narasta z pokonaniem każdej kolejnej „setki” w wysokości, ale prawdziwe szaleństwo zaczyna się powyżej ośmiu tysięcy metrów. Nieprzypadkowo nazywa się tereny powyżej ośmiu tysięcy „strefą śmierci”.

Przebywanie tam grozi śmiercią ze stu tysięcy powodów. Brak wystarczającej ilości tlenu w powietrzu, trudności z oddychaniem, brak siły na pokonywanie nawet prostej grani czy uskoku. Każda czynność wykonywana powyżej ośmiu tysięcy metrów wymaga potwornego wysiłku, czego kompletnie nie rozumieją ludzie beztrąsko „biegający” po dwu czy trzytysięcznikach. Powyżej granicy 8500 metrów bez butli tlenowych mogą przebywać już tylko jednostki...

Ludzkie życie systematycznie się wydłuża, ale nadal zdobywanie „kolejnych, wysokich szczytów” jest równie trudne jak było

przed wiekami. Pomaga nam technologia (i w górach i w życiu), ale mimo wszystko jest ogromne ryzyko przypadkowego błędu, który może zakończyć naszą wspinaczkę. I najgorsze jest to, że wobec potęgi gór, a także ludzkiego przeznaczenia – człowiek jest całkowicie bezradny.

Źródło: Nautilus.org.pl